

W tbiliskim hotelu nad ranem usłyszałem pianie kogutów. Był to nieoczekiwany odgłos jak na centrum ponad milionowego miasta, ale miły. Rozbawiony tak swojskimi odgłosami, zjadłem śniadanie i wsia-
dłem do autobusu, który miał być naszym okrętem na wodach gruzińskich dróg przez najbliższe dni.

Autobus był porządny, a jego kierowca jeszcze porządniejszy. Był to brunet z kaukaskim nosem i o imieniu Soso, czyli takim samym jak brzmiała ksywka Stalina. Zobaczywszy go, pomyślałem, że bardziej gruzińskiego kierowcy to już chyba być nie może. Po powitaniu przez przewodniczkę, która też miała kaukaski nos, ruszyliśmy na zwiedzanie Gruzji.

Siedziałem z przodu autobusu i dobrze widziałem, jak jeżdżą Gruzini.

Wyglądało na to, że światła i znaki drogowe były dla nich jedynie sugestią określonych zachowań, nie zaś czymś, czego należy przestrzegać. Co i rusz ktoś jechał środkiem ulicy, bez sygnalizacji zatrzymywał się, ruszał, wyprzedzał, zmieniał pas ruchu lub parkował gdzie popadło. Do tego stale w użyciu były klaksony. Dla mnie był to niepotrzebny hałas, ale później dowiedziałem się, że trąbienie jest wśród tamtejszych kierowców sposobem porozumiewania się. Innym pipnięciem się pozdrawiają, innym przepaszają, innym proszą o zrobienie miejsca, a jeszcze innym opieprzają.

Gruzini kochają swoje auta tak jak ich przodkowie konie. Trzeba pamiętać, że w Gruzji za sowieckich czasów samochody posiadali tylko uprzywilejowani i dopiero po uzyskaniu wolności stały się one powszechnie dostępne. Ponieważ Gruzini są biedni, więc większość ich aut to albo posowieckie łady i moskwicze, albo sprowadzane z zagranicy używane auta w bardzo różnym stanie. U nas większość z nich nie przeszłaby przeglądu, ale w Gruzji, jeśli auto jeździ, to znaczy, że jest sprawne technicznie i może być zarejestrowane. Stare czy nowe, sprawne czy nie, auta zawsze są wypucowane na wysoki połysk, żeby przynosić dumę właścicielom.

Prawo jazdy w Gruzji zdobywa się też po gruzińsku. Są oczywiście lekcje przepisów, ale można też się ich nauczyć samemu. Obowiązkowa jest tylko nauka jazdy na placu manewrowym, ale ilość jej godzin zależy od uznania kursanta, natomiast nauki jazdy po mieście w ogóle nie ma. Gdy kandydat na kierowcę uzna, że jest już przygotowany, zgłasza się do dowolnego punktu egzaminacyjnego i przystępuje do egzaminu. Takie punkty są tylko w kilku miastach (nie ma ich w stolicy) i z internetu można się dowiedzieć, gdzie jest najłatwiej zdać. Zdawać można do skutku.

Chroniony „pancerzem” naszego autobusu patrzyłem, jak Soso spokojnie prowadził go niczym lodołamacz wśród kry. Robił, co chciał - raz nawet wjechał w jednokierunkową pod prąd - a wszyscy mu ustępowali, bo w Gruzji zawsze większy pojazd ma rację.

Po opuszczeniu miasta spotkałem kolejnych uczestników ruchu drogowego - bezpańskie psy. Jest ich w Gruzji dużo i - odpędzane od domostw - pałętają się po szosach. Najwięcej jest ich na stacjach benzynowych, parkingach, koło przydrożnych sklepików i barów - słowem tam, gdzie są ludzie i szanse na coś do zjedzenia. Nie są agresywne ani natrętne, ale podchodzą blisko i ze swego rodzaju godnością oczekują czegoś na ząb. Miejscowi nie zwracają na nie uwagi, a turyści - narzekając na „gruzińskie porządki” - nagminnie karmią te „biedne zwierzątka”.

Stałymi użytkownikami gruzińskich szos są też krowy. Nie są one bezpańskie i święte jak w Indiach.

Wszystkie należą do kogoś i wcześniej czy później pójdą pod nóż, ale do tego czasu cieszą się statusem swoich azjatyckich krewnych. Pasą się na poboczach i w przydrożnych rowach, przechodzą powoli przez szosy lub „w zamyśleniu” stoją na środku asfaltu. Zobaczyć je nawet można pomiędzy spychaczami budującymi drogi. Nikogo to nie dziwi, bo taki wypas na „wolnym wybiegu” stosowany jest w Gruzji od zawsze. Rano gospodarze otwierają bramy i krowy wychodzą w teren. Odchodzą niekiedy wiele kilometrów od domu, a wieczorem zawsze wracają przed swoje bramy i czekają na ich otwarcie. Kierowcy cierpliwie je przepuszczają i omijają. Bardzo rzadko zdarzają się zderzenia z nimi, a jeszcze rzadziej są one zgłaszane, bo w takich przypadkach zawsze karany jest kierowca. Żaden policjant bowiem nie będzie szukał po wsi właściciela krowy, który i tak się do niej nie przyzna, a kierowca jest przecież pod ręką i ma pieniądze na mandat.

Wielki autobus dawał mi poczucie bezpieczeństwa w mieście i na płaskim terenie, ale na tzw. „Gruzińskiej Drodze Wojennej” już tak dobrze nie było. Szosa ta bowiem jest wąska, marnej jakości i ma wiele ciasnych zakrętów, które autobus musiał brać na kilka razy. Miejscami nasze koła toczyły się o kilka centymetrów od popękanej krawędzi asfaltu, za którą zaraz zaczynała się kilkusetmetrowa przepaść. Soso radził sobie jednak na tej drodze doskonale i dzięki niemu nie bałem się i mogłem podziwiać widoki zielonego Kaukazu. Właśnie zielonego, bo wspomniane przepaście nie były czarnymi czy białymi skalnymi urwiskami, ale od dołu aż do poziomu drogi i jeszcze ponad nią były pokryte zieloniutką trawą i ziołami. Dopiero dużo wyżej zaczynały się skały, ale niewiele były widoczne, bo okrywały je chmury.

Najwyższa część tej drogi wiedzie szerokimi przełęczami. Tam za sowieckich czasów wybudowano pomnik przyjaźni rosyjsko-gruzińskiej i do dzisiaj przy nim zatrzymują się wszystkie wycieczki. Zatrzymują się tam też turyści z Iranu i krajów arabskich, bo w ostatnich czasach wyjazdy do Gruzji stały się u nich modne. Ci muzułmańscy goście całymi rodzinami urządzają sobie przejażdżki Gruzińską Drogą Wojenną, zatrzymują się w najładniejszych jej punktach i godzinami podziwiają zielone, przepaściste doliny Kaukazu. Żeby ich przeżycia duchowe wesprzeć jeszcze cielesnymi, Gruzini oferują im tam pieczoną baraninę halal, czyli przyrządzoną zgodnie z muzułmańskimi zasadami czystości pokarmów. Pobudowali w tym celu małe drewniane domki, gdzie osłonięci od wiatru i słońca goście odpoczywają, popijają zimne napoje i oczekują na pieczone. W pobliżu są zagrody z owcami, z których turyści wybierają odpowiadające im sztuki, a te są od ręki zabijane i pieczone na rożnach. Serwowane tak jedzenie wcale nie jest halal, bo przyrządzane jest przez niewiernych, ale najwyraźniej do Kaukazu oko Allacha nie sięga i obie strony są zadowolone.

Oko Allacha nie sięga chyba nawet do Batumi, gdzie powstało kilka kasyn gry, których klientami są w większości Turcy i Arabowie. Ogólnie odniosłem wrażenie, że oko jakiegokolwiek prawa nie wszędzie w Gruzji sięga i często bywa mocno przyknięte.

Ale czy to moja sprawa? Dla mnie ważne były piękne widoki Kaukazu i poranne pianie kogutów w Tbilisi.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 27.09.2024 08:26

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.